



CZASOPISMO POETYCKIE

ZESZYT II. ROK II. WARSZAWA STYCZEŃ 1924.

Pierwszy zeszyt wyszedł p. t. „Ogień za kratą“

GRUPY LITERACKIEJ „SMOK“ :

ZOFJI DĄBROWSKIEJ

HENRYKA MROCZKA

ZDZIŚŁAWA ROYKIEWICZA

ALEKS. MALISZEWSKIEGO

MARJANA MARKOWSKIEGO

WACŁAWA URBANKOWSKIEGO

J. ZAIRY

W S P R A W I E P R O G R A M U

Reguł á priori sobie nie stawiamy.

Wychodzimy z założenia, że życie jest wiecznym ruchem; poezja jest przejawem życia, ulega więc ciągłym przeobrażeniom.

Pogański kult o boskim pochodzeniu poety: poeta wieszcz, prorok, wybrany — odrzucamy.

Poeta nic specjalnie nie przepowiada, jego sztuka nic specjalnie nie wyprzedza, nie objawia.

Poeta jest kołem działającym rytmicznie w maszynie świata.

Życie nie zarzuca nam arkanu na szyję i nie wlecze za sobą. Jest ono naszym towarzyszem.

Idziemy razem pod rękę, rozmawiając o Pięknie.

O PIEKNIŃ ŻYCIA!

W gwałpie historii poezja — bezwzględnie na to jak się na nią zapatrywano — szła zawsze z życiem.

Szanujemy każdą zresztą indywidualność, wypowiadającą się w takiej czy innej formie, indywidualność świadomą swojej wartości.

Forma wypowiedzenia się musi być współczesna, co wynika z konieczności rozwoju poezji.

Jednakże i ty żadnych ograniczających reguł nie stawiamy.

Troska o PIĘKNO sztuki rodzimej dostatecznie nas łączy.

Te zagadnienia były platformą powstania grupy literackiej „Smok“, która liczy 3 lata istnienia.

Skromne czasopismo ma być wyrazem naszej pracy twórczej.

Chcemy podtrzymać ogień znów słabnących poczynań poetyckich.

SMOK IDZIE — — — —

W w i ę z i e n i u

Mury przestrzeni zacieśniają się, zacieśniają —
szara masa cegieł osuwa się, opada na duszę,
szare nieskończoności zastygają.

Bóg ze słońcem odszedł zupełnie!

Smutek sowim skrzydłem o duszę potrafił —

głośno płaczą gwiazdy za bramami, nocą,

tęsknią skrzypiące oddźwia.

Wciąż grozi zetknięcie się czterech ścian piersią o pierś —
ciasno — cień przydusza możliwością.

Przeciągają się leniwie myśli na ciemno-zielonych cegietkach,
przeciągają się, jak krople wilgoci w seledynowych warkoczach pleśni:
miętko, bezbarwnie, beztreściwie.

Wglądają oczy nudy w serce.

Ucisk murów jest niezmienny.

Wsiąkły już ramiona, piersi —
czaszka jak opustoszały cmentarz kołysze się —
monotonnie.

Głośno płaczą gwiazdy za bramami, nocą...

Zofja Dąbrowska.

P r z e z n a c z e n i e

Rozszumię się w wiatrach błękitnych
Na drogach, gdzie chwiejące śpiewają brzozy,
Stubarwnem słowem zapłonę, zakwitnę,
Wystrzelę w niebo pąkowień, jak krwawy znak boży.

Na białych polach teskniąca,
Szarugą długich smutków owita,
Będę patrzyła jak w gwiazdy i słońca
Codziennie serce zakwita.

W błękitnych się wiatrach rozszumię —
Z czarnego kiru u wieńca kokarda —
W tęczyowych rzekach popłynię
Srebrną, dzwoniącą jaskółką—moja cicha skarga.

Zofja Dąbrowska.

W n o c k s i ę ż y c o w ą

Lśniące drzewa... powłóczyście drogi,
Szeleszczące, szklane ogrody — — —
Uśmtech nieskończoności w bledziutkich alejach —
...Szept... blask... rozkołysane ruchy,
Rozpięte pnącze seledynów! — — —

Pod rękę przechadzają się księżycowe smugi,
Skrzydlatą, powiewną dłonią strącają gwiazdy białe.

...Błądzą śnieżne róże w błękitne wtulone welony — — —
Sen szemrze w dygocących listkach, ślania się, ślania—
Płatki, płatki migocą...

Zofja Dąbrowska.

Ż y c i e

Życie ma wielkie, czarne pięści,
Rozłożyste ramiona jak jawor, sękate,
Na kanciastej twarzy uśmiech skrzydełkiem szeleści
(Słońce się wówczas chowa za globusu kratę)

I wieczorem wychodzi — dziki ten, wielki drab
Z lasu na łąkę, gdzie fruują o porcelanowem sercu panienki,
Skrada się cicho pod wzorzysty baobab
Chwyta je, i jak muchy gniecie palcami swej żylastej ręki.

Zofja Dąbrowska.

P o ż a r n i e s z c z ę ś c i a

Wieczór przyczałł się za rogiem ulicy.
Patrzy w przestrzeni.
Tramwaje uciekają tu — tam.
Do cukierni wszedł mój cień.
Poznałem go, choć był bez maski.
Patrzy mi w oczy.
Strach.
Goście niepokoją się przy stolikach.
Kelner zapomniał zamówić dla mnie kawę: —
Strach!
Cień stanął mi za plecami.
(Boże, Boże)
Światło zgasło.
Goście uciekają.
Panie skrzypku, trzaśnij skrzypcami o piec —
Muzyka — — !!
cicho — — !!
Wszystko drzy!!
Nagle
po środku stężącej ze strachu cukierni wystrzelił
słup ognia.

Ogień trzaska,
ogień syczy
?? — — — ?? — — — ??

— — !! — — — — !!

Ratować — ratować!!

Puść mnie, muszę trysnąć strumieniem krwi na ogień.

Puść — — !!

puść — — !!

!! O Boże — — !!

Ogień syczy!!! trzaska!!!

Płomień!!!! płomień!!!!

Wszystko się pali!!!!!

Wy—ję prze—cią—głe—e—e.

O—o—o—o

O—o—o—o

Na posadzce „Cafe Venus„ palilo się moje NIESZCZĘŚCIE.

Mój cień trzymał mię za kołnierz

△ △ . △ △

Zapłakałem.

Zdzisław Roykiewicz.

D w a d n i z p a m i ę t n i k a

Dnia 3-go listopada rzucono na mnie lasso,
Zaciśnięto na gardle. Zabrakło oddechu.
Ktoś mnie po miękkim mózgu giętką różgą trzasnął;
Mój cień po głównej drodze potaczał się ze śmiechu.

Wiatrak — pijany łobuz — gonił mnie przez pole
I chciał mi głowę strzaskać twardą, rozpędzoną ręką—
Byłem sam, bezbronny, przyciłem się w dole —
Napastnik przebiegł, zerwałem się i uciekłem prędko.

Pobiegłem na plac. Był pusty. Krzyczałem: „ratunku“
Serce się tłukło jak ryba żywcem krajana na stole.
Rozognione rozpaczą — błyszczący karbunkuł
(Jak pusty talerz po uczcie, wyglądało pole)

Dnia 21 listopada w uśmiechnięte rano,
Gdy pierwszy mróz porzrzucał szkiełka przezroczyście,
Jasny dzień mnie do serca miłośnicie przycisnął
I odetchnąłem swobodnie. Powietrze naprawdę było czyste.

I znów będę patrzył w Twoje rozkochane oczy,
Daleko piękniejsze niż pędzące wiersze Juliana Tuwima —

Lubię ciepło, co się z oczów rozmodlonych sączy
I pada mi na serce, jak drżąca pajęczyna.

W każdą piąstkę Ci szepnę dobre i kochane słówko
A Ty zaciśniesz paluszki jak ptaszek gdy wilkę oplata;
Kiwniesz na: „rozumiem“ w loczki uczesaną główką
I szepniesz: „nasza miłość jest nie z tego świata“.

Zdzisław Roykiewicz.

J e s i e ń

Stęskniona jesień — balzakowska donna
Rozpięta się na ziemi w ekstazie rozkoszy,
(Słońce rozkłada skrzydła — złocista opona
Patrzy w zamarłą przestrzeń, by jej kto nie spłoszył).

Później z wolna powstaje zmęczona, leniwa,
Cała jak w płaszcz zawinięta w uśmiech złota —
Siada pod drzewem, milcząca spoczywa
I z żółtych kasztanów układa: TESKNOTA.

Zdzisław Roykiewicz.

P o d r ó ż

LILIT ŁAPIŃSKIEJ

Rozszalały się dzisiaj kurjerskie pociągi —
Warszawa — Londyn — Wiedeń — Paryż — i Ostenda — —
Rozgrzane szyny jęczą, jak murzyńskie gongi, —
Słupy telegraficzne w tył biegną i pędzą — — —

Stacje chwytają pociąg radośnie w objęcia
I zatrzymać w ramionach pragną do przesytu — —
Róże z pod kół się spią — sygnały zakłęcia —
Oszołomione ptaki wichrami zachwytu — —

Zielono-złote oczy chudych semaforów —
Strażniki nieobjętej, czarującej dali,
Zakrwawia się czasami czerwienią kolorów
I wówczas bezwład cichy latarnie zapali — — —

Przed oknami moimi światełka trzepoczą — —
Szyny, jak długie ręce, niosą w dal ekspresy — — —

Po raz już nie wiem który zbudziłem się nocą,
By mózł ciebie powitać w pociągu do Nicei — —

I dalej przez Ocean — — W kwitnącej Japonji
Wylądujemy jaśni w porcie Jokohamy — —
Powitają nas lśniące, tęczowe lampiony
I Budda milczący, w słońcu zakochany — — —

Wacław Urbankowski.

U r o d a z y c i a

Uśmiechnęło się do nas promieniące życie,
Cała ziemia zaślana w fioleń orhideje,
Luną szczęścia zagląda w mych okien odbicie, —
Deszcz jesienny, brzęczący przez rynny się śmieje — — —

Zachwyciły się twarze wszystkich greckich kamej
Cisza Jasnej Hellady rozpostarła skrzydła, — —
Ścieżkami rozgorzałych dzikiem winem alej
Stabrowskiego symfonia jesieni porywa — — —

I zawisa nad nami zorza borealna, —
Snopy ognistych tęsknot w rozkosz kamienieją — — —
Krew się w serca nam wlewa pachnąca, upalna — — —
Serca nasze świetlicie, jak gwiazdy goreją — — —

A gdyby wszystko było gasnącem złudzeniem, —
Jak wulkan wybuchniemy buntem w dobroć Boga — — —
Obłędne oczy strzelą w niebiosa piorunem... — — —
Przestalibyśmy wierzyć w czar Vita Nuova — — —

Wacław Urbankowski.

XX w i e k

Fontannami srebrnej nafty pluje w nieba widnokreśli, —
Serce słońca stopić pragnie w piecach czarnych hut, —
Z radio złotych wież wyrzuca słowa — barwne boomerangi
Od bieguna do bieguna, na Everest szczyt — — —

Pogrążony w głębie błękitnego oceanu nurek — —
Jutro szyję przyozdobi zimnych pereł sznurek, —
Rano grywam sercem w tennis w Hyde Park w Londynie
A wieczorem w Wilanowie sny Chopina na pianinie — — —

Przypną skrzydła śnieżne mewy — hydroplany
Ucałują fale złote, chmury z lotnej piany, — —
A ekspresem zmierzę ziemię, jak niteczki południki, —
Przez Ocean most przerzucę od New-Yorku do Dunkierki — — —

Wacław Urbankowski

K r z y c z ę — — — !!

Krzyczę — — —

Purpura zaśnięcia mi oczy...
w piersiach tchu braknie...
sły—szy—cie — — ?

Do was mówię.
A
zbieracie się!
Słuchajcie bracia...

Co—o—o??

— Jak on śmiesznie porusza ustami.

Henryk Mroczek

O płomiennym krytyku i płomienistej krytyce

W numerze 294 „Gazety Porannej z Grosze”, z dn. 27 października 1923 r. ukazała się „krytyka” tomika poezji p. Wacława Urbankowskiego, podpisana znacząco literą „W”.

Właściwie należałoby przejść nad stekiem tych głupstw pod tytułem „O płomiennych, płomienistych i płonących tytułach” do porządku dziennego, gdyby nie ten fakt, że w pismach warszawskich od czasu do czasu jakiś „urzędowy” krytyk ohydnie obniża poziom polskiej myśli krytycznej, z zacięciem człowieka o „domowej edukacji” i wątpliwymi zdolnościami używania logiki.

Nie myślę pisać apologii wierszy p. Urbankowskiego; jak każdy młody poeta ma swoje wady (co krytyka powinna wykazać rzeczowo).

Chcę tylko zaznaczyć, — że podobne „krytyki” są albo wytworem złej woli, albo bezdennej ciemnoty.

Rzeczowo tak się sprawa przedstawia:

Sto sześć wierszy traktuje o tytule książki (są tam pewne przebliski świadomości) a dwadzieścia dwa wiersze omawiają zawartość książki, w czym cztery wiersze stanowią urwyk z utworu p. Urbankowskiego. Już same cyfry wykazują, że pan W. jest daleki od znajomości wszelkiej proporcji.

W tych 106 wierszach są reminiscencje z własnego życia. Czytamy: „Bułka bez masła... mleko oślic — i t. d. (narzekania na drożdżynę)... — Przychodzi noc, kawiarnie zamknięte.. Noc pusta (panie, panie, dlaczego nie pełna?), bez alkoholu, bez kawy, bez snu... Cóż, znane prawo psychologiczne“. Po takiej właśnie „pustej“ nocy powstała pusta krytyka.

Pan W. balansuje pomiędzy przedmiotami, o których nie ma pojęcia.

W 22 wierszach „właściwej krytyki“ ostrość sądu pana W. dochodzi do maximum.

Czytamy: „Bo chociaż „Fontanny (Płonące) jego (p. Urbankowskiego) przewertowałem starannie, ale naprawdę, dotąd nie wiem, „co to są: niespełnionych snów chryzolytu“, lub jaki to jest „brylantowy brząk“.

Pan chce *rozumieć* fikcję poetycką? naprawdę? pan nie wie — ? No tak, pan naprawdę dużo nie wie.

Najlepsza jest aluzja, że tom wydany *własnym* sumptem. Choćby nawet tak było, pan się czemś podobnym pochwalić nie może, panie *płatny* pośredniku (i zbyteczny) pomiędzy p. Urbankowskim a publicznością. I jeszcze się pan podpisuje przez „W“?

Panie faktorze, przy wynajdywaniu mieszkań pośrednictwo lepiej się, opłaca. Radzimy zmienić zajęcie bez straty dla krytyki.

W Grecji sztuka płonęła żywym ogniem bez pośrednictwa osób trzecich. Takiej krytyki nam nie trzeba.

Ro—wicz.

I t o K y o s e i --

(Ze zbioru *Kjokoku* 1923)

Topole się chwieją bezlistne,
nagie topole się chwieją.
I późno. Już noc milcząca a świetlana.

Szukając ukochanej w bezdrożach się błąkam.

Słyszałem tęskną piosenkę.
Słyszałem smutną piosenkę.
Słyszałem cudną piosenkę.

I na kobiercach białych snów
jaskrawe gwiazdy liczę — liczę
a wiotkie palce nim dotrzeć pragną nowiu.

Topole się chwieją tęskniące.

Z japońskiego
R. Umeda i S. Saliński.

L a m p y n a s z y b i e

I

Twarze żółte, czerwone, półcienie,
szepty, śmiechy, zegaru cykanie,
kolorowy dreszcz lamp.

Za oknem ściana muru,
nerwowe pasma światła,
flegmatyczne kolosy -- tramwaje.

Kolorowa migawka,
światła barwna, migotliwa plama.

Na szybie lampy strojne,
w powłóczystych, bladych abażurach.

Z ulic sączy się ciemność,
na szybach tańczą lampy --
plamy białe, żółte, arabski
zawrotny szal barw,
spłot tęczy,
rzeka siatek --

Lampy i tu, i tam,
wszędzie, zewsząd szmaragdowe twarze;
ludzie siedzą, lampy oszalały,
ludzie piszą, abażury marzą --

ludzie chodzą, ruszają nogami,
z szyby patrzą wielkimi oczami,
mrugają powiekami, ruszają rękami
lampy --

II

Lampy siedzą, założyły dłonie,
w ciemnej szyb się kąpią topieli,
złocista aureola na przegubie smug.

Poszarpanych światła sączą się krwi smugi,
mdlejących dzwonków idzie szepc, idzie długi --

omdlały abażury,
szepc motyli,
dżenie bladych warg.

Znieruchomiały
zmrúzione oczy zawiesiły na znużonej pajęczy cieni —
a długie światła ręce
pokładły,
na rozciąłowanej głów rzecz.

J. Zaira.

N a k o n c e r c i e

Pasma tonów — jedwabna, przezroczysta tkanka,
szeleści — szeleści.

Długie, niewidzialne ręce akordów,
zimne dotyki czoła ocierają się o uszy,
chłodem mówią po twarzy,
dreszczem weszły do serca.

Podrzuty piłką gam,
z sufitu o podłogę,
po lampach, po lampach.

Sztywne, zasnute, światłem sylwetki,
chorobliwo zgięte fotele.

Melodji bukiet wionął po smugach światła,
otał się zapachem o gzymsy zaspanej galerji

Z ramienia
na ramię,
z poręczy
na poręcz

idzie,
czołga się,
wije
szklanny wąż —
jeden — drugi — dziesiąty —

podniosły się,
zapłonęły ciemnością
pochodnie oparte o framugi lamp.

Macki nut
czepiają się włosów, wgrzają w mózg —
Struny nerwów,
smyczki światła,
przepaść czucia —

. ? ? ?
deszcz spadł —

!!! bito okłaski !!!

J. Zaira.

M a n i f e s t

S—ł—y—s—z—y—s—z — — —
Wielomiljonowy tłumie?!
Przestań się kłaniać fruwającymi głowami,
jak kapeluszem,
Przestań grubemi czarnemi łapskami
mordować muszki-macierzanki,
Zarygluj drzwiczki do serca bliźniego twego!!
Pięścią wyrwij pierwsze pięć zmysłów
z ociekającego materją mózgu
i wrzuc do rynsztoka,
Drugie sto, pięćset, tysiąc o wściekłem
napłęciu wprzęgnij w olbrzymie
koło rozpędowe

— Świat —

Miljon volt.

— — — — —
(Uuuuooooooooooooe. .)

— — — — —
Co?
Chcecie, by was uzdrowić?

— — — — —
(Uuuuooooooooooooe...)

— — — — —
U—w— a — g — a!!!

?

Chemicy, fizycy, ślusarze,
strycharze, robotnicy i akuszerki!
Zawijać rękawy!!!
Brać księżyc za uszy i postawić
na żarzącym się słońcu!
Hej! łobuz, kto tam pluje w słońce?!
W kotle księżycza zagotować gorzały na
1000°,

Sprowadzić tam manometr od Pana Boga!
Biali, czerwoni, czarni, niebiescy,
Chodźcie tu, chodźcie!

na

U—c—z— + °

Oto dla was środek na gardlane
suchoty!
Wyrzygajcie tu wasze hasła i zaczekajcie,
aż się przegotują!!!

O

już —

pijcie — pijcie —
Póki na łbach nie wyrosnie wam
Liberté —
Egaité —
Fraternité —

Rozbijcie łbami mury Nôtre-Dame,
kościóły, klasztory, bóżnice i meczety!!!
Wykąpcie się we własnej krwi!!!

— — — — —
Spójrzcie, ślepcy, raz tylko
— w słońce,
A duch się za was pomodli o Cud —
Cud zmartwychstania!!!

Marjan Markowski.

D u s z a u l i c y

Suną białe, wybielone twarze,
Omdlałe oczy — panny z demi-monde'u
Na spotkanie trędownatego szczęścia,
Idą — idą sennie, jak żałobny kondukt.

Mgielna latarnia przymrużyła oko,
By dwuznacznie podglądać tajemnice rogów;
Z pod czerwonych szyldów zjawiają się maski —
Żółte maski spijaczonych gogów.

Zarząła ciszą bezduszną ulica,
Echem zadudniła przeklinanych sumień:
Otworzyła się wielka beznadziejna pustka —
Zgniła pustka zapleśniałych trumien.

Zaplątały się zmysły w gałęzie,
Z drutami się spięły tramwaji,
By z rozpaczą pojechać okrakiem:
Coś — coś strasznego w ciemności się tai..

Zabłąkała się dusza ulicy,
Pod koła wpadła dorożki:
Krew — czarna krew tańczyła z błotem.—
Przed krucyfiksem modłą się świętoszki.

Idą — idą powoli sylwetki,
Niosą przed sobą złote, wielkie szczęście
Ściskają w zmysłach złoty, ciężki pieniądz —
Ciężki pieniądz na swoje nieszczęście.

Głowy — czyjeś głowy toczą się po bruku,
Za nimi krwawe serca do straszego sądu.
Z pod rzęs wystrzeliły, jak sztylety oczy —
Smutne, czarne oczy, jak żalobny kondukt.

Marjan Markowski.

T r z y n a ś c i e

Odbił się mój wzrok od kartki kalendarza
i biegnie wystraszony do słonecznej smugi...
I, jak piłka podbita zrećnie przez bramkarza,
Jęknął, upadł i leży, jak długi...

Ktoś lewą nogą wyskoczył dziś z łózka.
Tramwaj wpadł na dorożkę — wybił dziurę w boku...
Woda oblała kogoś nieuważna stróżka...
Jakiś pan żądał głośno, by spisać protokół...

W cukierni dziś — jak nigdy — kelner wylał kawę...
Z orkiestry dysonansem zawyło po sali...
Żyrandole pogasły... ktoś upadł na ławę
I płacze — głośno płacze — i żali się — żali...

Odbił się mój wzrok od kartki kalendarza
I biegnie wystraszony do słonecznej smugi...
I, jak piłka podbita zrećnie przez bramkarza
jęknął, upadł i leży jak długi.

Aleks. Maliszewski.

T r z e c i a g o d z i n a p o b a l u

W powozach jadą panie — — — białe panie
z karminowym uśmiechem na ustach...
Na fantazji wzorzystym dywanie
jadą panie — — — białe panie
w drogich, miękkich futrach...

Niedomówione słowa, słów półstówka
czepiają się na szyi, oprawnej w sznur pereł
I, jak trywialna niemiecka pocztówka,
niedomówione słowa, słów półstówka,
zajmują pierwsze miejsca, chcą być arcydziełem...

W powozach jadą panie — — — białe panie...
W tańcu zgubiły siebie gdzieś na dużej sali —
Ktoś napewno je znajdzie — — — będzie czekał na nie...
W powozach jadą panie — — — białe panie
i tęsknią za kimś, kto przyjdzie z oddali...

Jakże szybko czas płynie!.. Niewiadomo kiedy
przechodzą takie ciepłe, nieuchwytnie noce...
(...Wodospad światła na ramionach Ledy...)
— — — — — Niewiadomo kiedy
Pod oknem żywy blask się rozłopoce...

W powozach jadą panie — — — białe panie...
Wysiadają przed dużym pałacowym gankiem,
a gdy ciężka kotara nad łóżkiem zapadnie,
blade, zmęczone życiem, białe panie,
co noc z innym, nieznanym budzą się kochankiem.

Aleks. Maliszewski.

Z m r o k

Dajcie mi perfum — perfum l'Origan...
Zamknijcie prędzej okna i drzwi —
Jakiś nieznan, jakiś obcy pan
Chce mojej krwi...

Ja się tak boję, choć jestem mężczyzną,
Chociaż mam w biurku rewolwer i nóż...
Usiądź tu ze mną i śpiewaj mi, Nino:
„Kłęknij, dzieciно, i rączki złóż...”

Jak-że zazdroszczę Wam, małe boba,
Że wam wystarczy konik i bat!..
Tak mi Wasz mały świat się podoba,
Że chciałbym z Wami żyć wiele lat...

Stoi za oknem — ma czarne oczy,
I przez firankę chce zajrzeć — — — oo!!
Nie odchodź! — Zostań! — Jeszcze wskoczy
I białym kwiatom da czarne tło...

Aleks. Maliszewski.

P. II. 186

Z A P I S K I

„**TWÓRCZOŚĆ MŁODEJ POLSKI**” — kwartalnik ilustrowany, poświęcony sztuce, rok I, zeszyt 1, Warszawa, 1923.

Założenie ideowe tego pisma byłoby dobre, gdyby pozwalało drukować w „*Twórczości Młodej Polski*” utwory młodych poetów utalentowanych, którym opasłe ciała „znanych koryfuszów” nie dają miejsca w szrankach. Należy oczekiwać, że tak się stanie, o ile redakcji chodzi naprawdę o rozwój polskiej sztuki. Szerzej nie będziemy się rozpisywać, pozostawiając krytykę szczegółową do ukazania się następnego numeru.

„**SPIEWAJĄCA ZORZA**” — Zofji Dąbrowskiej, Zdzisława Roykiewicza.

Poezje p. Dąbrowskiej zasługują na szczególną uwagę. Przedewszystkiem są zupełnie oryginalne. Nawet w przybliżeniu nie możnaby wykazać do których te wiersze są podobne. Poetka wypowiada się przedewszystkiem zapomocą barw. Barwy p. Dąbrowskiej nie mają nic wspólnego z t. zw. „barwnością języka”.

Tego rodzaju twórczość najpowszeźniej bywa uznawaną, gdyż ogólnie biorąc barwę przeżywa się najtrudniej. Podkreślić należy fantazję o dużej skali, która z łatwością stwarza złudę poetycką. Wadą p. Dąbrowskiej jest brak kompozycji, oraz podchwytywanie wszelkiego pomysłu, co przy pracy da się usunąć, a co po części wynika z charakteru twórczości p. Dąbrowskiej.

O panu Roykiewicz — kiedy indziej.

G Ł O S Y O „O G N I U Z A K R A T Ą”

Krakowski „*Głos Narodu*” z dn. 17 października 1923 r., w Nr. 215 w dziale „*Przegląd literacki*” pisze:

...na wyróżnienie zasługuje niewątpliwie talent Wacława Urbankowskiego. Jego „*Płonąca Fontanna*” posiada to, co nazywalibyśmy mięszmem poetyckim; pod powierzchnią słów czujemy zgrab natchnienia, pulsację uczucia...

W „*Twórczości Młodej Polski*” — w № 1, w dziale „*Nasza Kronika*” (*Z Pism*) czytamy:

...Na szczególną uwagę zasługują utwory pp. Zdzisława Roykiewicza (duży rozmach, życie, brawura), Aleksandra Thena (b. wiele przejęcia, wycucie barwności języka), Marjana Markowskiego (oryginalny sposób ujęcia tematu, rozmach), Aleks. Maliszewskiego (b. duża skala przeżycia wewnętrznego, siła wyrazu, barwność)“.

Oto co się nazywa pobłażliwością.

Panowie, dziękujemy za komplement.

K S I Ą Ż K I I P I S M A N A D E Ś Ł A N E

„**TWÓRCZOŚĆ MŁODEJ POLSKI**” — kwartalnik ilustrowany, poświęcony sztuce, rok I, zeszyt pierwszy, Warszawa 1923.

W SPRAWIE POLSKIEJ AKADEMJI WIEDZY MUZYCZNEJ — Edward Wrocki.

„**GŁOS NARODU**”, Kraków Nr. 215 z dn. 17 października 1923 r.

„**PŁONĄCE FONTANNY**” — Wacław Urbankowski — poezje, Warszawa 1923. Skład główny „Ignis”.

„**SPIEWAJĄCA ZORZA**” — Zofja Dąbrowska, Zdzisław Roykiewicz — poezje, Warszawa 1923, skład główny: Dom Książki Polskiej.

Autorzy, pragnący złożyć rękopisy, zechcą się zgłaszać osobiście do redakcji (Dobra 31 m. 5) w każdą niedzielę od godz. 11-ej do 1-ej w południe.

Wydawca: Warszawski Instytut Wydawniczy.

Redaktor: WACŁAW URBANKOWSKI.

Adres Redakcji: Warszawa, ul. Dobra 31 m. 5.

